TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 5. *Chicago, Ills., 30 Lipca, 1885 r.* Rok II.

TRZY MIESIĄCE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dębowo 3 maja.

Co ona teraz robi?... Czy pamięta o tem, że mnie zaprosiła prawie?... Jaka ona dobra!... Obraziłem ją... W altanie, sam na sam, zacząłem prawić komplementa, jak pierwszej lepszej kobietce... Ale spostrzegłszy, że mnie słowa jej zmartwiły, przebaczyła natychmiast... żal się jej zrobiło. .

W obejściu jej ze mną, z początku zwłaszcza, było coś braterskiego, macierzyńskiego prawie... ta rozmowa o pensyi, te rozprawy o kwiatach, to pokazywanie mi czysto naszego, pełnego spokoju i uśmiechów krajobrazu, to wszystko były wysilenia anielskiego serca. Wzięła wiosnę i zieleń i błękit za pomocników, i sama się wśród nich ukryła, wiedząc, że nic tak ran duszy i serca nie leczy, jak głos przyjaźni wśród pięknej przyrody...

Właśnie w tej chwili mogłem być przy niej, widzieć ją, mówić z nią... Dziwna!... jedno nieszczęście pociąga za sobą cały szereg innych... gdyby nie 12 czerwca, jakże rozkoszne mógłbym stworzyć sobie życie!...

Oh! tak!... od trzech dni czuję się innym!... Nie pojmuję jak mogłem znieść tryb życia dotychczasowy!... Co za pustki!... jaka czczość!... Z wizyty na wizytę... z salonu do salonu... zawsze z ludźmi, których się ani szanuje, ani lubi!... Gdzie tu treść?... jaki cel?...

A dla czego tak było?... Bo byłem sam, a człowiek sam jest niezupełnym człowiekiem... Kobieta dopiero, żona, domowy kącik i myślenie we dwoje dopełnia nas...

Żyć z nią w Dębowie!... Dziś w nocy pół-senny ale przytomny snułem jeden po drugim przecudne obrazy tego życia, widziałem

każdą jego chwilę... Boże mój! jakiżby to raj był!... Nie ma nic piękniejszego jak pożycie dwojga kochających się ludzi... Jest to życie zdwojone... i musi być płodnem...

Ale precz te marzenia!... nie dla mnie one!... Ha! ten Wirski!... Co za pomysł piekielny!...

Dębowo 5 maja.

Wczoraj przyjechał Struś stary dowiedzieć się, dla czego nie byłem u nich onegdaj!... Czyżby go ona wyprawiła... Tłumaczyłem się zajęciami... Staruszek mnie bardzo lubi i oczywiście chciałby mnie mieć za wnuka... Ciągle mi o Maryi mówił, a mówił z młodocianym zapałem, prawie ze łzami w oczach... Powiada, że z nią razem nowe życie wstąpiło do Słomnik... wierzę... Dowiedziałem się, że Marya maluje bardzo ładnie... Lubię, gdy kobieta ma coś do talentu podobnego, nie dla tego, żebym chciał w niej koniecznie znaleść twórcę, ale że to dowodzi poczucia piękna...

Stary wydobył na mnie przyrzeczenie, że najdalej jutro będę. Oh! gdybyż on wiedział jak pragnąłem być dziś, wczoraj, onegdaj... codzień... I co prawda, kto wie, czy za surowym dla siebie nie jestem, a raczej zbyt zarozumiałym?...

Rozkochać ją w sobie... za nic w świecie!... Co chwila czuję silniej, że byłoby to zbrodnią!... Ale czyż koniecznie ma się zakochać?... Dla czego?... Czyż to ja Don Juan taki... by się pokazać i zwyciężyć?... Zkąd we mnie ta obawa śmieszna?... I jeszcze ona!... ona!... Zresztą wszystko przemawia przeciwko mnie... Kobiety, jak Marya, kobiety prawdziwe potrzebują uwielbiać, czuć siłę i wyższość... jam jej się przedstawił jak moralny kaleka... jak chory rekonwalescent, zraniony i nieszczęśliwy, a więc słaby, niezdolny... zasługujący na litość, ale nie na miłość.

Tak, nie ma niebezpieczeństwa!... Ona mnie pokochać nie może...

Dziwna rzecz!... mówię to prawie z radością... i chcę wierzyć w to silnie!... Po raz pierwszy pewno od stworzenia świata zdarza się, żeby zakochany z przyjemnością dochodził do przekonania, że ukochana jego wzajemną być nie może!...

To oryginalne... Ha!... jak wszystko w mem położeniu...

Ależ bo to przeświadczenie pozwala mi przynajmniej widywać ją... Tak!... nie ma niebezpieczeństwa żadnego!... a jeżeli tak jest, byłoby znów szaleństwem z mej strony odmawiać sobie tej rozkoszy jedynej!... Mój Boże!... wszak przedemną tylko pięć tygodni zaledwie!... Czyż nie mam prawa choć tyle wypić nektaru, ile go bez szkody dla innych wypić mogę... Małoż i tak cierpię!...

Zresztą dla ostrożności potrafię być takim, jakim być powinienem... Będę chłodnym, wesołym, pozytywnym, szyderczym nawet... Jeśli spostrzegę z jej strony gorętszy objaw sympatyi, oziębię go natychmiast...

Jestem szalonym, ale uczciwym!... A co więcej, Maryę kocham całą potęgą mej duszy, i raczej sto razy me serce rozedrę, jakbym ją miał nieszczęśliwą zrobić... Przysięgam, że uczucie moje nie tryśnie przy niej ani słowem, ani błyskiem oka, ani drżeniem ręki... Przysięgam sobie samemu, że raczej serce bym wydarł z piersi i zadusił się własnemi rękami, jak pozwolił wydobyć się krzykowi namiętności...

Wiem, że walka będzie trudna!... wiem, że to trzymanie na wodzy i duszenie tego, czem dusza przepełniona, wymaga siły strasznej... ale za to widzieć mi ją będzie wolno!... oddychać powietrzem, którem ona oddycha... słyszeć głos jej srebrny i szelest jej sukni...

Będziemy przyjaciołmi!...

Przy niej i przy obcych będę bratem Izy, dobrym znajomym, pacyentem zresztą... Gdy żadne oko śledzić mnie nie będzie, w ciemnym kątku salonu lub z pomiędzy cienia drzew, z daleka... cicho... będę się upajał jej widokiem i marzył uroczo... Zresztą wszak to tak niedługo!... kilka tygodni!... kilkadziesiąt dni zaledwie!...

W nocy.

Śliczna noc majowa i pierwszy słowik zadzwonił!... Postanowienie, jakie powziąłem, uspokoiło mnie!... Myśl, że jej mam niewidywać, dręczyła mnie więcej jak wszystko... Szczęśliwy jestem, żem znalazł sposób ominięcia tej najstraszniejszej męki... nie popełniając przecież zbrodni!...

Ah! co za noc!... jakie zapachy!.... Mieć ją teraz przy sobie, trzymać dłoń jej w swej dłoni, czuć jej głowę na swojem ramieniu i słyszeć cichy jej oddech.... Boże mój!.... jakżeż życie jest piękne!....

A jednak niedługo.... Ale przecież tam gdzieś.... wszak tam się spotkamy!.... a jeżeli?.... Nie!.... nie!.... precz odemnie myśl okropna!.... Człowiek nie umiera!....

Nad ranem.

Noc całą przesiedziałem w oknie.... nie marzyłem.... nie myślałem.... nie czułem.... jej obraz otulony mgłami majaczył mi przed oczyma ... niepewny, idealny.... W noc taką człowiek traci poczucie własnej odrębności.... zdaje mu się, że się rozlewa w nieskończoności, że jest zarazem krzewem i gwiazdą.... światłem księżyca i wonią kwiatu....

Czyżby to było przeczucie tego, co nas po śmierci czeka?....

Teraz jestem spokojny!.... Ostatecznie czegoż więcej żądać mogę?.... Bóg nad grobem pozwolił mi poznać anioła swego.. . kocham.... w około mnie zmartwychwstająca natura, za kilka dni przybędzie tu matka i Iza.... kilkanaście więc dni ostatnich przebędę wśród tego, co mi jest najdroższem. Ona.... matka.... Iza.... maj.... słońce.... zieleń.... błękit czysty i noce urocze.... miłość pełna uwielbienia w piersi, ciepła atmosfera serc kochających i wiosenne powiewy! Boże mój, o czemże więcej człowiek marzyć może!....

A potem?.... Ah! znowu to?.... oh... zapomnienia.... zapomnienia na dni kilkanaście!....

Dębowo 6 maja.

Trudniejsze to zadanie jakem sądził, ale myślę, żem z niego wyszedł zwycięzko. Kiedym dziś przybył do Słomnik, dość długo nie zeszła do salonu.... Bóg widzi, com wycierpiał.... Byłoż to karą?.... za moje zwłoki, czy rzeczywiście miała tak ważne zajęcie?... Ah! śmieszny znów jestem.... Zawsze o niej mówię tak, jakbym miał prawo szczególnych od niej wymagać względów....

Wyglądała prześlicznie, choć była mizerniejszą nieco i choć lekki karmin jej twarzy zbladł prawie zupełnie. W białej sukni, smukła, powiewna, zdawała się czemś fantastycznem.... Przywitała mnie serdecznie.... jak zwykle, ale witając patrzyła się na mnie badawczo....

Mówiłem dużo, unikając przedmiotów poważniejszych. Wierny mej roli paplałem o Warszawie, o plotkach miejskich i t. d. Staruszkowie i przybyli wkrótce po mnie państwo Glińscy z przerosłą córeczką, bawili się doskonale....

Marya po razy kilka ze zdziwieniem spoglądała na mnie i brwi jej ciemne za każdym razem ściągały się, jakby gniewem czy niecierpliwością....

Jakże mnie te spojrzenia bolały!.... W pospolitym dandysie warszawskim nie mogła poznać brata swej przyjaciółki, złamanego pacyenta swego.... Ale obok przykrości, czułem pewną rozkosz... dumę.... Sumienie mówiło mi, że spełniam w tej chwili wielką, bolesną powinność.... że poświęcam dla jej spokoju i szczęścia więcej jak życie, bo.... jej szacunek....

Komedya ta jednak męczyła mnie bardzo i drażniła moje nerwy.... No, pierwsza próba zawsze trudna.... Wyczekiwałem jak zbawienia sposobności, by módz odpocząć trochę i całą duszą na nią popatrzeć.... Wszak to jedno miało być nagrodą wysileń moich.... Długo czekać przyszło. Dopiero gdy światła wniesiono, panna Glińska usiadła do fortepianu. Marya przy niej, żeby jej nuty przewracać. Starsi państwo zgromadzili się koło stolika, a ja na kozetce w kątku. Z miejsca tego twarz grającej była zasłonięta zupełnie pulpitem, ale twarz Maryi odkryta. Co grano?.... jak grano?.... nie wiem.... cała moja dusza zbiegła się w oczy.... po długiem udawaniu mogłem patrzeć na nią swobodnie, z miłością i uwielbieniem.... Pokazuje się jednak, że i tego mi nie wolno.... Bardzo prędko znać przeczuła magnetyczny wpływ mego wzroku, spojrzenie jej padło na mnie, lekki rumieniec wystąpił na twarz, potem oczy spuściła i dopiero głos grającej proszący o przewrócenie nut zbudził ją z zamyślenia....

Zkąd ten rumieniec?.... co znaczy to widoczne zaambarasowanie się spojrzeniem mojem?.... Czyż to gniew?.... obrażona duma dziewicza?.... Ależ ja patrzałem na nią z rzewnem uwielbieniem tylko.... ze czcią.... Czyżby?.... Oh! strzeż ją Boże!....

Ha!.... trudno!.... odtąd będę i nad wzrokiem panował.... Jest na to sposób dość pewny.... Dość włożyć w jedno oko kukiera, żeby najczulszy wyraz zamienił się w grymas śmieszny i szyderczy!....

Ale na nią patrzeć przez kukiera!.... Ha,

trudno. Wszystko lepsze, nawet śmieszność w jej oczach, jak niewidzenie jej.... Ale nie.... to za wiele!.... śmiesznym być w jej oczach?.... nigdy!.... raczej złym przewrotnym.... Nie chcę jej miłości.... Wolę umierać nie zakosztowawszy ani chwili rozkoszy, jak łamać jej życie i serce rozdzierać, ale jednak chciałbym.... żeby nie zapomniała zbyt prędko o mnie.... chciałbym, żeby troszeczkę cierpiała, żeby choć jedna łezka na grób mój upadła!.... Chciałbym w niej zostawić nie bolesny i rozdzierający obraz kochanka, ale ciche, smętne wspomnienie brata...

Odjeżdżając dość późno, gdym się...

(Tu brak kilkunastu lub więcej stron rękopismu, wyciętych nożyczkami).

5 czerwca.

Ha! stało się!... Jedna jeszcze ofiara! .. okropność!... to co dla innych byłoby wejściem do raju, to co każdy wita radością i uniesieniem, to ja przyjmuję z rozpaczą, to na myśl o tem, serce się moje rozdziera a sumienie policzkuje duszę...

Ona mnie kocha!... Ona mnie kocha całą duszą!... całą istotą swoją, tak jak kobiety takie kochać umieją jedynie...

A za dni siedm ze mnie... trup!...

Maryo!... Maryo!... wstrzymaj się na Boga!... zastanów!... wspomnij!... jam nie wart ciebie!... jam cię oszukiwał!... Myślałaś, że masz przed sobą człowieka z krwi i kości... a ja jestem upiorem!... Sądziłaś żem wolny... a jestem oto najnędzniejszy z niewolników!... Życie moje należy do innego... a ten inny go nie odda... a choćby chciał... jabym go przyjąć nie mógł!... Za dni kilka będziesz wdową!... nie będąc żoną... ten, w którym złożyłaś nadzieję całego życia, będzie samobójcą potępionym!... a ty!... Oh! przekleństwo na mnie!... Nie byłoż uciec po pierwszem widzeniu się!... Wszak wiedziałem co mnie czeka!...

....

A jednak Bóg widzi, robiłem wszystko co mogłem, żeby ją oddalić od siebie... Byłem chłodny, traktowałem ją jak obojętną mi osobę, unikałem rozmów draźliwszych, ziębiłem ją nieraz moją ironią i szyderstwem z rzeczy, które dla niej i dla mnie są święte... Z nadludzką siłą wyśmiewałem często jej urocze ekstazy, i jednem spojrzeniem lodowatem brutalnie odpłacałem nawet objawy prostej sympatyi!... Potrafiłem być nieznośnym, we własnych przynajmniej oczach.

Ilem na to sił zużył!... ilem wycierpiał!... Ah! wy co kochacie, co wiecie, jaką rozkoszą jest stawać na piedestale przed ukochaną, pojmiecie co cierpiał człowiek, który musiał właśnie kłamać przed nią, by się oszpecić!...

Ale inaczej wypadało uciec, wyrzec się jej widoku... na zawsze!... To było najokropniejsze dla mnie, i nad siły moje!...

Cierpiałem okropnie, grając komedyę chłodu, przeżycia, braku uczuć i obojętności dla niej, ale za to mogłem od czasu do czasu popatrzeć na nią całą duszą i bez przymusu... a w chwilach takich zapominałem o wszystkiem... i były one wytchnieniem i rozkoszą moją... Była to słabość, ależ ja umieram za dni kilka!...

I zaślepiony, brnąłem z czystem sumieniem dalej, prawie dumny z mej ofiary i z siły nad sobą... Owszem!... lękałem się, czy jej nie zrażam za nadto, czy nie przesadzam, czy zamiast przyjaźni spokojnej nie wzbudzę w niej wstrętu, i czy miasto słowa żalu, nie powie, dowiedziawszy się o katastrofie: „Dobrze zrobił"!

Myślałem, że znam kobiety!... Dzieciństwo!... Właśnie to moje postępowanie było może powodem nieszczęścia!... Ona przeczuła we mnie tajemnicę, ból jakiś, odgadła komedyę, zrozumiała, że ukrywam w głębi jakąś ranę straszną, i to ją właśnie zaciekawiło, uniosło, porwało... Anielskie dusze bezbronne są wobec nieszczęścia...

Przybycie Izy pogorszyło sprawę... Iza psuła mi ciągle grę moją, ostrzegając Maryę, że gram komedyę, że udaję... i rozpalając jej wyobraźnię do wyleczenia człowieka, który kochając ją... odpycha ją przecież... do wykrycia w mem życiu jakiejś tajemnicy strasznej...

A jednak do ostatniej chwili jam się nie domyślał niczego!... Jak każdy kochający prawdziwie... nie śmiałem marzyć o wzajemności... zresztą nie chciałem jej... lękałem się jej... nie przypuszczałem jej... nie chciałem przypuszczać ani na chwilę, bo wtedy byłbym musiał uciec i stracić ostatnią moją rozkosz... prawo widywania jej!... i upajania się jej widokiem...

I tak mijały dzień za dniem... ja spokojny w sumieniu mojem, zmęczony udawaniem,

nabierałem sił w jej widoku, w marzeniach o niej samotnych wśród uroczych nocy majowych, w serdecznych rozmowach u kolan mej matki... która także spodziewała się wszystkiego od Maryi.

Pamiętałem, że chwila fatalna się zbliża, i nie bez żalu, ale spokojnie kroczyłem ku niej, myśląc tylko o tem, żeby z czasu skorzystać, żeby się jej napatrzyć, matki pieszczotami nasycić, napoić się powietrzem wiosennem...

Aż oto dzisiaj!... ale nie!... możnaż to opowiedzieć?...

....

O! moja Maryo!... jakże ty piękną byłaś!...

....

Dzień był śliczny... chodziliśmy w lipowej alei, ale ja dziwnie smutny i rozdrażniony, Iza i Marya także niewesołe. Wszak to jutro dzień wyjazdu Maryi z babką do B... Wprawdzie jest projekt, że i my z matką mamy tam jechać za dni dziesięć, ale za dziesięć dni... będzie tu żałoba i rozpacz!... Mieliśmy się więc niby zobaczyć niedługo... Ale ja wiedziałem, że po raz ostatni chodzę z nią po tym ogrodzie, i serce ściskało mi się boleśnie...

Szedłem obok Izy myśląc o tem... Głos wewnętrzny powtarzał mi ciągle, że wszystko skończone!... Gdybyż przynajmniej te dni jeszcze kilka!... Upadałem pod bólem, żalem, rozrzewnieniem i czując, że siły dalej nie wystarczą, pod pozorem zapalenia cygara zostawiłem obie dziewczyny i skręciłem w boczną, ciemną aleję wiodącą do domu... Ale skoro tylko drzewa mnie przed niemi zakryły, ból wybuchnął płaczem gwałtownym i zaledwie zdołałem rzucić się do małej z grabiny altanki, w której stała ławeczka i stół kamienny...

Płakałem... ja mężczyzna płakałem... nie śmiejcie się i nie dziwcie... Słońce świeciło... drzewa okryte młodym liściem zdawały się uśmiechać, kwiaty główki swe miłośnie podnosiły ku światłu, ptaki szalały świegotem i rozradowaniem... gdzie spojrzeć radość, miłość, życie... We mnie życie także... krew krąży szybko... pierś szeroko oddycha!... Czuję życie, jak wszystko w około... czuję je silniej jeszcze... bo kocham... bo dusza moja, nastrojona miłością, czuje i rozumie wszystko co piękne... tam o kilka kroków biały mój anioł... a przecież...

A przecież mnie oto jednemu nie wolno czuć tego, co czują kwiaty i drzewa, ptaszki i cały świat Boży. Między mną i nią stoi grób... honor... Wirski...

Wszystko to trzeba porzucić... opuścić... na zawsze...

Ah!... bohaterowie!... nie wstydzę się mego płaczu... Z jej odjazdem kończyłem wszystko... Ostatnie dni kilka będą tylko wegetacyą smutną... Żegnałem więc życie w chwili, gdy mi ją żegnać przyszło... Niech mówią co chcą filozofowie!... Życie w 26 roku życia, wśród wiosny, z miłością w sercu, warte łez...

Płakałem więc, a raczej szlochałem, oparłszy twarz na obu rękach... Tak długo drażnione nerwy odpełniały zaległość, a zdawało mi się, że wraz z temi łzami i życie uciec chciało. Oh! jakże pragnąłem tego!...

Raptem, na ramieniu poczułem dotknięcie lekkie... Zadrżałem i podniosłem oczy... Przy mnie stała ona, jak istny anioł miłości... Jedną rękę, osłoniętą do połowy muślinem, położyła na mojem ramieniu, drugą tuliła bijące gwałtownie serce. Z oczu jej płynęły wolno dwie łzy wielkie i błyszczące jak dyamenty, ale oczy błyszczały niewidzianą dotąd czułością i ogniem. Olśniony, nieprzytomny, patrzałem na to zjawisko...

— Po co te łzy?... te umyślnie zadawane cierpienia?... Czy pan nie widzisz, że ja...

Zatrzymała się i oczy spuściła, oblewając się karminem...

I Bóg i ona przebaczą mi chyba, żem zapomniał wtedy o wszystkiem, żem porwał białe jej ręce i cisnąc je do ust, wołałem namiętnie;

— O mój aniele!... Maryo!... ukochana!...

Paluszki jej ściskały moje ręce, uśmiechnięta, rzewna, spokojna, patrzyła na mnie i szeptała:

— Uspokój się... cokolwiek cię boli wyleczę cię... będziemy szczęśliwi... oboje... tylko...

Usta jej były tuż nad mojem czołem, czułem jej oddech... jeden ruch jeszcze... a czoło moje byłoby pocałunkiem anioła uświęcone...

Ale w tejże chwili ów straszny sędzia, który umie oziębiać najczarowniejsze uniesienia... nieubłagane sumienie szepnęło:

— A 12 czerwca!...

Błyskawicą rzeczywistość stanęła przedemną... Oto czysta, pełna życia istota powierza

swe serce, duszę, przyszłość swą skazanemu na śmierć... nachyla się w objęcia trupa sądząc, że to człowiek... A on to przyjmuje:... Hańba!... Porwałem się z przestrachem, puściłem jej ręce i krzyknąwszy:

— Nie!... nie chcę!... nie chcę!... popędziłem sam nie wiem gdzie...

Przyszedłszy do siebie, rozpacz mnie ogarnęła na myśl, co ona pomyśli o mnie!... Parę godzin chodziłem po polach, ale jednak wrócić było potrzeba. Zastałem wszystkich przy herbacie... Marya nalewała ją jak zwykle, ale była dziwnie blada... Widziałem, że matka i Iza domyślają się czegoś... Szalonem wysileniem woli zdobyłem się na pożegnanie zupełnie chłodne... Ona jednak wyciągając rękę rzekła głosem anielskiej dobroci:

— Do widzenia... w B... Pamiętaj pan!... verbum nobile!... nic od niego nie zwalnia...

Jakiż to anioł!... po tem co zaszło!...

Sam powoziłem, aby się uwolnić od pytań, a potem pod pozorem migreny pożegnałem matkę i siostrę. Szukając rękawiczek, w drugim pokoju słyszałem wesoły głos Izy:

— Niech mamunia będzie spokojna!... Oni zakochani w sobie szalenie... Karol dziwaczy, ale to przejdzie!... Ręczę mamuni, że się to skończy ślubem!...

Ślubem!... Oh!...

Dębowo 6 czerwca.

Dziś widziałem ją raz ostatni... i to wśród ludzi... chwilkę tylko... Oka nie zmrużyłem noc całą... Gdy pierwsze brzaski wschód bielić zaczęły byłem już w lesie... potrzebowałem porannych powiewów i rosy, by ochłodzić rozpalone czoło... Narwałem kwiatów leśnych i z tym bukietem poszedłem ją pożegnać... Przyjęła go, patrząc mi bacznie w oczy, i rzekła:

— Dziękuję panu... kwiaty te pojadą ze mną... nim uschną... spodziewam się, że mi pan nowy bukiet przywieziesz... Do widzenia...

Do widzenia!... gdzie i kiedy?... Oh! jakże mi jej brak było!... jak pusto... smutno... Gdyby nie biedna matka moja, skończyłbym dziś jeszcze... Czego czekać... czego więcej spodziewać się mogę?...

Dębowo 7 czerwca.

Drugi dzień jej nie widziałem... a przedemną tylko dni pięć!... Wszystko koło mnie jak było, a przecież mnie tęskno i smutno... więcej jak kiedykolwiek... Dla zabicia czasu napisałem testament... Niech przynajmniej dobry czyn okupi lekkość, która mnie nad przepaść przywiodła, i bezczynność lat młodych... Połowę majątku zostawiam Izie... drugą połowę przeznaczam na cele dobroczynne i zostawiam do rozporządzenia Maryi... Chcę jej tem dać z za grobu dowód uwielbienia... Z pół milionem dużo łez otrzeć można, a dla niej każda łza otarta będzie ulgą i balsamem...

Prócz tego rozdając moje pieniądze, będzie musiała pomyśleć o mnie...

Iza widząc mnie tak smutnym zaproponowała, żebym wprzód jechał do B... i urządził dla nich mieszkanie, bo dla mamy zazimno tam jeszcze...

Musiała mi się twarz dziwnie na tę propozycyą rozjaśnić, bo spojrzała z uśmiechem na mamę... Rozsądek jednak mój odezwał się zaraz i odrzekłem, że nie mogę przed 13 wyjechać...

— Dla czegóż ten termin?...

— Zobaczysz... coś się stanie, dodałem z uśmiechem...

Iza zapłonęła cała. Leon zatrzymywany chorobą swej matki pisał, że w tych dniach przyjedzie... Iza sądziła, że o jej deklaracyi mówię...

Zostawiłem ją w tem przekonaniu... i wyszedłem w pole... Poczciwa Izia ani się domyśla, co narobiła propozycyą swoją. Myśl pojechania do B. wraca mi do głowy ciągle... Zobaczyć ją choć raz jeszcze, widokiem jej uświęcić się i wzmocnić na tę drogę wieczystą i tajemniczą... oh! cóżbym nie dał za to!... Ale nie!... po tem co się stało, nie wolno mi rozdmuchiwać ognia, który ją spalić może... Niech mnie ma za waryata!... Prędzej zapomni... pokocha innego!...

Innego?... zkąd mi to przyszło?... Gdy ten wyraz z pod pióra mi wypadł, czułem dreszcz przerażenia i gniewu... Miałżebym być zazdrosnym?... Ja?... Allons donc!... Taka pretensya!... Cóż to moje prochy obchodzić może?...

Ah!... dziwna rzecz... skoro jej nie ma, zaczynam wątpić... Umierać nie wierząc w zmartwychwstanie?... rozłączać się na wieki... oh!...

Dalszy ciąg nastąpi.

BAŚNIE.

MIECZ ZWYCIĘZKI.

Młody, urodziwy i silny rycerz w dziedzictwie po ojcu swym dostał zwycięzki miecz, który kiedy przypiął do boku swego i gdzie do bitwy stanął, już nieprzyjaciel struchlały o litość błaga, a kiedy miecz ten w jego ręku zabłysnął, drżąco przed nim schylali karki najmężniejsi z rycerzy — a kiedy jeszcze mocarza dłonią zwycięzkim zamachnął mieczem, powiększyły dwór jego, łupy i brańce.

Jednakże pomimo zwycięztw, łupów i brańców młody, urodziwy i silny rycerz, gnuśniał w rodzinnym progu — rzekł więc razu jednego do siostry:

— Nie masz tu dla mnie zwycięztwa i chwały, jest świat szeroki i ludzi wiela, pójdę w świat i między ludzi, więc luba siostro bądź zdrowa.

A siostra jego, starsza od niego, w niewieście uboga wdzięki, odpowiedziała:

— Ani ja ojca, ani ja matki, gdy pójdziesz na świat szeroki, sama zostanę nieboga, bez przyjaciela, brata i męża, więc gdy rodzinny dom ci jest ciasny, a mnie żyć trudno bez ciebie, weźże mnie ze sobą braciszku luby.

— Niech i tak będzie — rzekł rycerz śmiały.

I zabrawszy swą siostrę i swój dwór cały, powędrował w szeroki świat.

I w drodze dalekiej, w pośród strasznego boru, stanęli w karczmie noclegiem — i co tylko się pokładli, trzasnęły zamki, brzęknęły szyby, do ich komnaty wszedł zbójca. —

— Ha, jak się macie podróżni z dalekiej strony, jak się masz młody i silny rycerzu — wiemy o tobie; o! sława twoja i w tym rozległa się boru — lecz wstawaj! — i albo oddaj bogactwa, i miecz zwycięzki, albo się żegnaj z tym światem — a rycerz dzielny, silny i młody, nic nie powiedział, tylko wstawszy z posłania, do swego boku zwycięzki, przypasał miecz. —Co kiedy ujrzał zbójca, trzy razy stąpnął, raz gwiznął, i do komnaty rycerza czterdziestu zbójcow wpadło.

— Hej śmiałku, rycerzu młody! krzyknęli zbójcy, pójdź z nami, pójdź — tam w gospodniej komnacie jest wódka dobra i miód i wino, pójdź z nami pić — póki masz gardło i ciepłą krew, i w piersi bijące serce, pójdź z nami pić, — za chwilę będzie po czasie, spiesz się więc spiesz.

— Nie tak mi pilno, rycerz odpowie, bym się miał zrywać i spieszyć, i po co jeszcze, by z wami pić? — ja spijam w kole rycerzy, a zbójców siekam na zrazy.

Śmiejąc się zbójcy, wołali: spiesz się rycerzu, spiesz, tyś jeden, a nas czterdziestu, mały z ciebie dla nas kąsek,— więc lepiej pójdź, oddaj bogactwa miecz i podziel z nami nasz biwak, a potem idź sobie precz — bo jeśli głupim uporem zbójcę do gniewu pobudzisz, sporzyjno śmiałku młody! — i każdy zbójca dobył swej broni.

Młody i silny rycerz, już wtenczas nie mógł wytrzymać, ale jak dobył z pochwy zwycięzki miecz, i ten miecz w jego ręce zabłysnął, niektórzy z bandy zadrżeli, a kiedy jeszcze mocarza dłonią, zwycięzkim zamachnął mieczem, za czterdziestym silnym cięciem, ani jeden nie żył zbójca, i czterdzieści głów zbójeckich pod jego zatoczyło się nogi.

Jedzie rycerz z siostrą i dworem, śmiało i bogato, i na drodze za borem spotkał leżącego na ziemi olbrzyma trzymającego w ręku żelazną pałkę, — na którego wołał sługa: hejże z drogi mój człowieku, boś choć wielki, te kasztanki cię stratują! — nadjechali tuż do niego — a olbrzym kiedy jedną kiwnął ręką, pojazd, konie i dwór cały, mało nie zmierzył przepaści.

Wtedy stanął rycerz młody ze swym mieczem i zapytał się olbrzyma:

—Cóś za jeden rycerz taki, co mnie w drodze śmiesz zawadzać? — a olbrzym też odpowiedział:

— Jestem olbrzym, herszt i hetman trzy razy tylu zbójców, którycheś-ty pomordował i teraz czekam na ciebie, aby tą żelazną pałką twój łeb roztrzaskać twardy.

I olbrzym powstał, i żelazną wymierzył pałkę,

ale młody i silny rycerz, jak zwycięzkim machnął mieczem, olbrzymowi obiedwie uciął nogi.

Jedzie rycerz z dworem śmiało i bogato, i zajechał przed jeden pusty zamek — patrzy obok bramy z filarem, jak dąb, wielki zawieszony klucz żelazny — żaden z dworzan tego klucza nie mógł udźwignąć — aż sam rycerz silną dłonią, jak pochwycił klucz ogromny, wielką pod niebo otworzył bramę do pustego zamku wjechał i najpiękniejsze pokoje z siostrą zamieszkał a przyległe pawilony zajęli dworzanie i słudzy. — Mięszkając rycerz w zamku jeździł z dworem na łowy, a jego siostra całe dnie przebywała w ogrodzie. — Kiedy jednego razu rycerz był na łowach, siostra jego w zamkowym chodziła ogrodzie; idąc ciemnym szpalerem usłyszała jęk żałośny za krzakami — idzie za głosem, patrzy, aż na ziemi leży olbrzym rozciągnięty, trzymający w rękach ucięte nogi swoje — który gdy ją zobaczył, smutno zawołał:

— O pani, patrz, co ten mordeca twój brat mi zrobił — że ja pan tego zamku, z najmocniejszych olbrzymów na świecie, jak nędzny pies tułam się przy swoim domu, a kiedy mój nieprzyjaciel w moim salonie wesołe godziny pędzi, ja obumieram z bólu i nędzy w własnym ogrodzie.

Olbrzym był składny i młody z męzką chociaż wybladłą twarzą—uboga w niewieście wdzięki rycerza siostra, zakochawszy się w olbrzymie, we wszystkiem go wspierać przyobiecała.

Rzekł więc cierpiący olbrzym do swej kochanki:

—Kiedy o pani masz tak miłosiernie i tkliwe serce, że mi we wszystkiem dopomódz przyobiecałaś, słuchaj, a swego przyrzeczenia łatwo dopełnisz.

Rycerza siostra słuchała a olbrzym mówił dalej:

— W zamkowej wierzy pod kopułą na górze jest czarnoksięzka apteka — a w tej aptece na jednej pólce jest maść uleczająca najcięższe rany, za pomocą której zrastają się odcięte człowieka członki, — idź więc o moja pani i przynieś mi tej czarnoksięzkiej maści.

Rycerza siostra pobiegła, z wieży zamkowej maści zaczarowanej przyniosła, którą kiedy olbrzymowi nasmarowała nogi, natychmiast nogi się zrosły, i olbrzym, herszt i hetman kilkuset zbójców zdrowy i silny powstał — i w komnacie na ustroniu ukryć się kazał.

Rycerza siostra, już olbrzyma kochanka, ukrywszy go w komnacie, jeść i pić mu donosiła, a przed rycerzem swym bratem o tem wszystkiem zamilczała.

Rycerz ze dworem z łowów powrócił, a siostra rzekła do niego:

— Ah mój braciszku, ty jeździsz wesół po łowach, i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi — brat się wielce zafrasował, bo w całej okolicy nie było tam doktora, ani nawet balwierza, a siostra mówiła dalej:

— Kiedym w cierpieniach na samotnem łożu jęczała i sen skleił me powieki, miałam sen bardzo piękny rokujący zdrowie moje, jeśli ty kochany bracie, z czarownego ogrodu jędzy, który za lasem i górą ciągnie się wzdłuż za murami, przyniesiesz mi chociaż jedno złote jabłko.

Brat czemprędzej miecz przypasał, najlepszedosiadł konia i do ogrodu jędzy pojechał.

Ta jędza, to była siostra olbrzyma, i kto tylko do niej po złote przyjechał jabłko, zaraz mu łeb urywała, a wielu zjeżdżało po nie rycerzy, bo to jabłko płeć niewieścią upiękniało. —

Więc olbrzym, obawiający się zwycięzkiego rycerza miecza, czychając na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobem jej brata zgładzić ze świata. — Na co ona ażeby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Ale rycerz zajechawszy do ogrodu jędzy owej mieczem swym uderzył w miedzianą bramę, aż cztery końce świata powtórzyły odgłos miecza.

Przelękniona chociaż wściekła, wypadła jędza z ogrodu i miedzianą bramę swoją w oka mgnieniu otworzyła i krzyknęła:

— Kto tam, kto tam śmiałek taki, czy niewolnik, czy też pan? — a rycerz jej odpowiedział:

— Pan, pan miecza zwycięzkiego, z twego ogrodu złotego jabłka żąda!

Jędza żmii okiem patrzy, jej włos rudy rozczochrany z wiatru wiewem w górze wiewa, pierś zdrapana potem dymi, szaty, płachty się szastają.

Takim wzrokiem jędza patrząc, to na oblicze rycerza to na jego miecz zwycięzki, rzekła prędko do rycerza:

— Dam ci panie złote jabłko, lecz mi daj rycerskie słowo, że mnie jeszcze raz odwiedzisz.

— Masz więc słowo, dawaj jabłko.

Ona dała jabłko złote, a rycerz do zamku wrócił i siostrze dał jabłko złote.

Kiedy siostra jabłko zjadła, niby zaraz ozdrowiała i była jak wprzód, piękniejszą.

Mięszkając rycerz w zamku, jeździł z dworem na łowy, a jego siostra pędziła chwile z olbrzymem, rzekł raz olbrzym do swej kochanki:

— Zawszeż tak będę w ukryciu, dla jednego rycerza, rycerza brata mojej kochanki, dla jej miłości gnuśnieć tu w tem więzieniu? kiedy podzielasz uczucia moje, czemu wybiegiem i sztuką nie zgładzisz takiego brata, dokądże jego życie, będzie zawadą w szczęściu naszem? — a ona mu odpowiedziała, że się lęka brata miecza i silnej dłoni jego — i potem się umówili, że kiedy mu nic nie zrobiła jędza wściekła, to innym sposobem zginąć musi.

I wrócił brat z polowania, a siostra do niego rzekła:

— Ah mój braciszku, ty jeździsz wesół po łowach i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi.

Brat się znowu zafrasował, a siostra mówiła dalej:

— Kiedym w cierpieniach na samotnym łożu jęczała i sen skleił me powieki, miałam sen bardzo piękny, rokujący moje zdrowie, jeśli ty kochany bracie, z jaskini ze swym płodem leżącej wilczycy, przyniesiesz mleka.

Brat czemprędzej miecz przypasał, najlepszego dosiadł konia i do jaskini pojechał.

Ta wilczyca, to była zaklęta olbrzyma siostra, i kto tylko po mleko do niej przyjechał, natychmiast go rozszarpała, a wielu tam zajeżdżało, bo to mleko płeć niewieścią upiękniało. Więc olbrzym czychając na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobema jej brata zgładzić ze świata — na co ona, aby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Ale rycerz zajechawszy do jaskini wilczycy, mieczem swoim o róg jaskini uderzył, aż cztery końce świata powtórzyły odgłos miecza.

Przelękniona choć zajadła w jaskini leżąca wilczyca, przytuliła się do ściany i leżała cichuteńko, a jej wilczki mleko ssały. —

Rycerz swój miecz zwycięzki o paszczę oparłszy wilczycy, młode jedno wilczę odepchnął w naczynie mleka nadoił, do zamku bezpieczny wrócił i siostrze dał wilcze mleko.

Kiedy siostra wilczem umyła twarz mlekiem, zaraz niby ozdrowiała, i była jak wprzód, piekniejszą.

Mieszkając rycerz w zamku, jeździł sobie na łowy, a jego siostra pędziła chwile z olbrzymem, i rzekł olbrzym do swej kochanki:

— Nigdyż nie wyjdę z tego więzienia, nigdyż nie będę szczęśliwy, przez jednego rycerza, brata mojej kochanki? a ona smutek i rozpacz z nim podzielała — i umówili się, że skoro mu nic nie zrobiła, ani jędza, ani wilczyca, to innym sposobem zginąć musi — i kiedy wrócił brat z polowania, siostra do niego rzekła:

—Ty jeździsz wesół po łowach i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi — brat się znowu zafrasował, a siostra mówiła dalej:

— Kiedym w strasznych cierpieniach na samotnem łożu jęczała i sen skleił me powieki, miałam sen bardzo biękny, rokujący zdrowie moje, jeśli ty kochany bracie, z cudownej studni śród boru, przywieziesz mi czarownej wody.

Brat czemprędzej miecz przypasał, najlepszego dosiadł konia i do cudownej studni wśród boru, pojechał.

Ta cudowna studnia była własnością drugiego olbrzyma, brata rycerza siostry kochanka, hetmana i herszta kilkuset zbójców, a wielu do tej studni zajeżdżało po zaczarowaną wodę, bo ta woda niewieścią płeć upiękniała. Więc olbrzym kochanek rycerza siostry, czyhając na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobem jej brata zgładzić ze świata — na co ona ażeby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Rycerz pan zwycięzkiego miecza, stanąwszy śród boru, gdzie była czarowna studnia ujrzał w około studni wielką fortecę, w której bramę kiedy mieczem uderzył, a odgłos cztery końce świata rozlegnął, jeden ze zbójców roztworzywszy ową bramę, zapytał:

— Któż taki, niewolnik, czy pan, i czego żąda? a rycerz odpowiedział:

— Ja pan i rycerz, a żądam czarownej wody; wpuścił go zbójca przez most zwodzony, do swego pana siedziby. — Rycerz wchodzi, patrzy, na żelaznym kowadle siedzi olbrzym, hetman i herszt swojej bandy, który, kiedy go tylko ujrzał, zawołał:

(Dokończenie nastąpi.)

JASKINIA POTĘPIEŃCA.

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Celina przyszła wkrótce do siebie. Natychmiast skierowała oczy swe na nieznajomego, który dotychczas jeszcze leżał nieruchomy, chociaż kilku zajęło się cuceniem. Wsparta na ręku ojca zbliżyła się do niego, uklękła i rzekła ze łzami:

— O ty mój wybawco!... — wzniósłszy oczy ku niebu, dodała: — Boże nie daj, aby ten uratowawszy mi życie, stał się sam ofiarą mej lekkomyślności.

Czemprędzej włożono nieznajomego na podwodę i zawieziono do zamku. Nieznajomy zabitym nie był, bo mu serce jeszcze biło, ale był bardziej do trupa aniżeli do człowieka podobnym. Na zamku obmyto go ze krwi, która też już płynąć przestała. Gdy lekarz nadjechał i chorego zrewidował, uznał, że jest niebezpiecznie raniony i choroba zły koniec wziąść może, bo ma piersi nadwerężone i głowę bardzo stłuczoną. Zdaje się, że go koń uderzył kopytem w głowę i w piersi.

Celina po zażyciu uspokojających kropli wnet do dawnego wróciła zdrowia, lubo nie do dawnej wesołości.

Cześnikiewicz także odpokutował swoją lekkomyślność. Spadając z kolasy potłukł się doskonale, podrapał sobie twarz, a cugle starły mu skórę na dłoniach. Więcej niż potłuczone kości i podrapana twarz, bolał go jeszcze wstyd, że powierzonej sobie damy obronić nie potrafił.

Chory nieznajomy miał się tymczasem coraz gorzej. Leżał jak nieżywy; oczy miał zamknięte, nie przemówił ani słówka, tylko w piersiach mu grało, jakby na konaniu. Celina nie odstępowała go ani na chwilę; sama podawała mu lekarstwa, sama poprawiała mu pościel i zimnemi szmatami obkładała mu głowę.

Po kilku dniach zaczął chory w malignie wymawiać urywane, dziwaczne słowa; zdawał się to pytać, to prosić, ale nikt tego zrozumieć nie mógł. Czasami mówił wyraźnie po polsku— chciał iść do lasu, wołał matki, ale gdy go pytano, zdawał się nie słyszeć, bo zamiast odpowiedzi, plótł znowu błędnie naokoło. Lekarz oznajmił, że chory wskutek silnego uderzenia w głowę zapadł na zapalenie niebezpieczne mózgu. Zalecił więc jak najtroskliwszą opiekę, jeżeli ma jeszcze przyjść do zdrowia. Naturalnie, że na troskliwej pieczy choremu na Turaju nie zbywało.

Chory leżał już tydzień, a nikt jeszcze nie wiedział, co on za jeden, zkąd pochodzi, lub jak się nazywa. Stolnik kazał po wszystkich stronach dowiadywać się, ale napróżno. Jemu samemu zdawało się, że chory nie jest mu całkiem obcym, że go gdzieś widział, ale gdzie i kiedy, tego sobie nie mógł żadną miarą przypomnieć.

Wskutek tego wypadł sąd ogólny, że nieznajomy szedł z daleka i przypadkiem znajdował się na miejscu niebezpieczeństwa. Ubiór jego więcej jak skromny był dowodem, że należy do klasy ubogich, jednakże czyn jego pokazywał, że ma nie tylko duszę szlachetną, ale i niepospolitą odwagę.

Czyn jego nie był tak zwyczajnym, jakby się to zdawać mogło. Nad samem urwiskiem rzucić się przed rozhukane, zdziczałe konie, było to, narazić się na oczywiste niebezpieczeństwo utraty życia, gdyby go bowiem konie zepchnęły były z urwiska, byłaby go kolasa

roztrzaskała, jeżeliby się jeszcze spadając nie zabił.

Po dwóch tygodniach choroba dochodziła do najwyższej potęgi, kryzys się zbliżała. Jak dawniej leżał martwy, tak teraz trudno było utrzymać go w łóżku. Zrywał się, uciekał, a przytem w obłąkaniu wymawiał niepojęte rzeczy, niestworzone dziwy. Zdawało mu się raz, że skaka we wodę zimną — krzyczał wtedy, aby go ratowano: inną razą widział twarz anielską — wtedy się uśmiechał, składał ręce, jak do modlitwy i powiadał, że to anioł, który go wybawi, za chwilę zrywał się z przeraźliwym wrzaskiem, że go cyganie biorą, szamotał się, niby się wydzierał, aż zmęczony padał na łoże, niby ulegając przemocy. Wtedy żądał bębenka, i wystawiając sobie, że ma żądany przedmiot, bił rękami o pościel, wyśpiewywał dzikie pieśni niezrozumiałym językiem.

Prócz tego stał się złym i opryskliwym; nie dawał nikomu do siebie przystępu, bił nogami i rękami, bo sądził, że każdy chce do niego strzelać. Jedna tylko Celina miała u niego względy. W największem szaleństwie opamiętywał się, a płomienne i dzikie oko jego nabierało łagodności, jakiejś słodyczy, i z wyrazem nie do opisania spoczywało na jej twarzy, dopóki tylko znajdowała się przy nim. Gdy odeszła, szlochał, płakał jak dziecko, wołał jej do siebie, a potem znów wybuchał gniewem na otaczające go osoby.

Lekarz przybywał coraz częściej, bo chciał przesileniu się choroby być przytomnym.

Właśnie dzisiaj powinna była kryzys nastąpić. Oprócz lekarza znajdował się prawie cały zamek obok łoża chorego, który we wściekłem szaleństwie rzucał się tak silnie, że go dwóch barczystych ludzi ledwo w łóżku utrzymać mogli. Gadał wciąż niezrozumiałym językiem, którego nikt nie znał, ani nawet nie słyszał. Jeden tylko lekarz i Cześnikiewicz spoglądali na siebie znacząco.

Lekarz zbliżył się do Stolnika.

Mości panie Stolniku! — wyrzekł z cicha, — nasz chory coś zakrawa na cygana; jego słowa są, o ile mi wiadomo, pochodzenia cygańskiego.

— Co mówisz, panie doktorze! — odpowiedział Stolnik po chwili namysłu, — nie ma w tej twarzy ani odrobiny wschodnich rysów. Przypatrz się pan! płeć biała jak u kobiety, a oko wielkie, niebieskie dowodzi, że jest naszego rodu.

— Nie było też to, co powiedziałem, rzeczywistem zdaniem mojem, — odrzekł doktor, — tylko raczej domysłem opartym na jego mowie. Zresztą pan Cześnikiewicz jest też tego zdania.

Stolnik chciał na to coś powiedzieć, ale lekarz spojrzawszy na zegarek, pobiegł czemprędzej do chorego, kryzys bowiem nastąpiła. Chory targał się jeszcze, krzyczał chwilę w okropnem obłąkaniu, a potem padł bezwładny na łoże.

Lekarz schwycił go za puls i trzymał badawczo przez kilkanaście minut — chory ani się nie ruszył, tylko oczy zamknął i zdawał się być w uśpieniu.

— Dzięki Najwyższemu! — wyrzekł lekarz uroczyście, — choroba się przesiliła, nasz pacyent przyjdzie do zdrowia!

Można sobie wyobrazić, że wiadomość ta wszystkich niezmiernie ucieszyła. Wszystkich?

Celina klęczała obok chorego, a łzy radości zwilżały jej modre oko. Stolnik także wzruszony pokręcał co chwila wąsa i wpatrywał się w twarz wybawcy swojej córki. Cześnikiewicz stał tak, że mógł nie tylko twarz nieznajomego, ale i Stolnika i Stolnikównej wyraźnie widzieć. Dostrzegł też na nich owo ciche, serdeczne współczucie dla chorego, którem ich serca były przepełnione. Pomału, zwolna, powstała w sercu jego zazdrość, gniew, a gdy w oczach panny Celiny łzy ujrzał, uprzedzenie jego zamieniło się w nienawiść.

Czemu?... on sam nie pytał się o to swego sumienia, uważał tylko, że z jego krzywdą nieznajomy, przybłęda ze świata, może nareszcie chłop, obudził w sercu Celiny więcej współczucia, aniżeli on, Cześnikiewicz, szlachcic z pradziadów i kształcony w Paryżu.

Gdy się więc wszyscy przytomni cieszyli z minionego niebezpieczeństwa, on sam jeden stał nieczuły i pogardliwie patrzał na chorego.

Dostrzegła to Celina, dostrzegł to i Stolnik; oboje tłumaczyli sobie postępowanie jego według własnego poglądu. Ojciec zgadł od razu przyczynę, wyczytał myśl jego z twarzy; domyślił się, że nieznajomy zdoławszy oddać pannie Celinie największą w świecie przysługę, wyrywając ją z rąk niechybnej śmierci, do której on lekkomyślnie ją prowadził, nie mógł za-

prawdę pozyskać też jego sympatyi. Owszem zadraśnięta duma, zraniona miłość własna, powinna silne w nim zrobić wzburzenie. Skazany teraz przypatrywał się co chwilę rzewnemu współczuciu, powinien był zawrzeć gniewem i zawiścią.

Celina ze swej strony inaczej rzecz tę uważała. Nie mogła się domyślić, aby ktoś zdołał dla jej wybawcy gniewem, lub broń Boże! nienawiścią się zapalać, dla tego postępowanie Cześnikiewicza wzięła za brak czułości, brak serca, które uważała odtąd jako wystudzone ze wszelkich uczuć szlachetniejszych i wznioślejszych.

Tymczasem i ojciec i córka mieli zapewne słuszność.

Chory zapadł w głęboki sen, dla tego przytomni się oddalili. Zebrani na sali rozmawiali najwięcej o przebiegu choroby, mianowicie Stolnik z doktorem zastanawiali się nad pochodzeniem nieznajomego.

— Panie doktorze, — wspomniałeś mi, że i inni uznają mego gościa za cygana, proszę — któż to taki?

Lekarz wskazał na Cześnikiewicza.

— A to pan Cześnikiewicz — dodał — był łaskaw zwrócić mi na to uwagę. Co się tyczy mego zdania, to proszę nie wątpić, że to tylko czysty domysł.

— Domysł? — przerwał Cześnikiewicz pogardliwie, — domysł? Nie wydawałbym się z domysłem, gdybym go nie mógł poprzeć dowodami.

— Co to wszystko znaczy? — zapytała zdziwiona Stolnikowa, która nie wiedziała o kim obecnie mowa, — cóż to znaczy? kto cygan?

Cześnikiewicz machnął ręką i uśmiechnął się szyderczo, jakby chciał mówić: at! nie warto wspominać. Stolnik jednak z lekarzem byli ciekawi usłyszeć owe dowody, którymi chciał domysł swój poprzeć.

— Prosimy, — rzekł Stolnik, — prosimy, mów waćpan; a może i masz dowody.

— Dowody moje opierają się na różnych wyrażeniach się nieznajomego w malignie, — odpowiedział Cześnikiewicz. — Kto wyrywa się do bandy cygańskiej, kto woła na matkę noszącą imię cygańskie, kto zresztą umie język cygański, ten doprawdy...

— Byłaby to racya, mości Cześnikiewiczu! — przerwał doktor, — byłaby to racya, gdyby język jego był rzeczywiście cygańskim — ojczystym.. Tego dotychczas nie wiemy, zatem z pozoru sądu żadnego tworzyć nie powinniśmy. Ja jako lekarz, stałem nie raz nad chorymi, którzy majacząc, mięszali turecki język z francuzkim, niemiecki z angielskim, a pomimo to, byli oni Polacy, jak i my; inni w malignie przyznawali się do kradzieży i zabójstwa, a mimo to byli ludźmi najuczciwszymi. Dowód zatem waszmość pana nie ma żadnej podstawy, zwłaszcza, że fizyognomia zadaje kłam wszelkim podobnym wnioskom. Przypatrzyłeś się pan jego rysom? Widziałeś w nich co wschodniego?

Cześnikiewicz spojrzał na doktora z nieograniczoną dumą; na twarzy jego malowała się widocznie pogarda.

— Panie doktorze! — odrzekł, wymawiając każde słowo wolno, z przyciskiem, — panie doktorze, czy doprawdy sądziłeś, abym ja, ja, zajmował się rysami chłopów i hultai?

Wyrzekł to tak głośno, że wszyscy mimowolnie oczy nań zwrócili i od razu odgadli, kogo on uczcił epitetem chłopa i hultaja. Stolnikówna z oburzeniem spojrzała najprzód na mówcę, a potem z wyrzutem zwróciła oczy na ojca, jakby się go zapytywała, dla czego się nie ujmie za nieznajomym. Ale Stolnik nie chciał jej zrozumieć. Według jego zdania, jeśli nieznajomy jest chłopem, a nawet cyganem, Cześnikiewicz miał słuszność, że się nie zajmował jego rysami. Prawda, był on zbawcą Celiny.... ale to jeszcze nie zobowiązywało Cześnikiewicza do zbliżenia się do niego. Zresztą skoro tylko wyzdrowieje, odeślę go tam, zkąd przybył, wynagrodziwszy sowicie. Tak nie ubliżywszy swej godności, zapłaci nieznajomemu ból i przestrach. Ale zbliżyć się do niego.... nigdy.

Może, że Stolnikówna zrozumiała myśl, bo smutnie opuściła głowę i rzekła:

— Nie masz więc nikogo, któryby się ujął za mym wybawcą od śmierci? Czyż uczucie wdzięczności nie obudzi w niczyjem sercu współczucia i szacunku dla człowieka, który bezinteresownie życie swe poświęcił dla mnie bohatersko?

Tu łzy zabłysły w jej oku.

Cześnikiewicz chciał się w głos rozśmiać, ale się jeszcze w czas pohamował. Rzekł tylko

z ironicznym uśmiechem na ustach:

— Panno Celino! w żadnym chłopie rycerskiego usposobienia znaleźć nie można, a jeśli coś podobnego czyni, to tylko w nadziei nagrody. I ow cygan, czy tam ktoś, pewno w innym zamiarze nie doskoczył do koni. Zresztą zasługa jego nie tak wielka, gdyż już pomoc nadbiegała.

— Tak! — odpowiedziała również szyderczo panna Celina, — a nim byłaby nadbiegła, leżałabym roztrzaskana w rowie, z któregobyś mnie pan nie potrafił żywej wydobyć, jakeś nie potrafił koni utrzymać.

Cześnikiewicz najprzód się zaczerwienił, a potem zbladł, — przytyk był zanadto znaczny. Spostrzegł, że więcej nie powinien mówić przeciw nieznajomemu, bo ten miał w Celinie silnego obrońcę. Przytomni także zauważyli, że powinni przestać rozmowy dalszej w tej materyi, dla tego dały się słyszeć głosy, aby przejść do czego innego. Cześnikiewicz tylko, jakby jeszcze w odwrocie przecedził przez zęby:

— Ja z mej strony uwierzyć nie mogę, aby ci, którzy powrozy na nasze kręcą szyje, chcieli bezinteresownie ratować nas w niebezpieczeństwie.

Panna Celina nic na to nie odpowiedziała, tylko powstała i odeszła. Mianowicie zwróciła swe kroki do miejsca, w którem znajdował się chory. Wszedłszy, zastała go samego, bo ci, którzy byli wyłącznie do pilnowania jego przeznaczeni, widząc go we śnie pogrążonego, oddalili się na moment. Leżał nakryty do piersi, które chociaż jeszcze szybko, ale przynajmniej regularnie wznosiły się i opadały. Ręce białe miał wyciągnięte na pościeli.

Celina stanęła przy łożu i długo, długo wpatrywała się w chorego. Po kilku minutach cichego badania jego twarzy, rzekła sama do siebie na wpół ze łzami:

— O ty mój wybawco!.. Tak tu w gościnnym staropolskim domu dziękują tobie za czyn najszlachetniejszy, jaki tylko popełnić można. Tu w nagrodę nazywają ciebie cyganem, chłopem, a nareszcie hultajem!.. Lecz ty nim nie jesteś, twarz twoja, jeśli już nie czyn twój, świadczą za tobą. Okiem twem, któreś rzucił na mnie w chwili największego niebezpieczeństwa, dojrzałem twoją szlachetną, piękną duszę. Widzę jeszcze w mej wyobraźni twoje oko błękitne, jak lazur nieba, a chociaż choroba zaszkliła je, chociaż bóle i cierpienia skurczyły rysy twej twarzy i wycieńczyły twe ręce, jednak nic nie zatarło w pamięci mej twego oka.

Tu schwyciła go za rękę.

— Ta ręka, którą całować powinnam, wróciła mi napowrót życie — życie już prawie stracone. Tą ręką uzyskałeś do mnie prawo ojcostwa, boś mnie uratował od śmierci. Niechaj przynajmniej wolno mi będzie uścisnąć rękę mego dobroczyńcy.

Wymawiając te słowa uścisnęła rękę chorego. Ten drgnął i w tej chwili otworzył oczy, które jasno i przenikliwie zwrócił na Celinę. Zadrzała, krew oblała jej lica.... tak! to było to samo oko, które w jej pamięci utkwiło. Chory nie spuszczał z niej oczu, a ona nie śmiała się ani poruszyć, ani ręki jego puścić. Wreszcie położyła ją lekko na pościel, a chory powiódł oczyma po pokoju i cichym głosem wyszeptał:

— Gdzież jestem?

Celina nie wiedziała co na to odpowiedzieć, a gdy się namyśliła, chory zamknął oczy napowrót i znowu zasnął.

Oczywista była rzecz, że nieznajomy przytomność całkowitą odzyskał; poznała mianowicie z tego, że oczy jego nie miały nic owego szklistego blasku, jakim pałały przez cały ciąg obłąkania, a głos, lubo słaby i cichy, jednak był dźwięczny, rozsądny.

Nie długo nadeszła służba, a Celina z największą radością pobiegła gościom opowiedzieć, co słyszała. Wiadomość ta wszystkich ucieszyła z wyjątkiem Cześnikiewicza, który wieść o śmierci cygana, jak go nazywał, byłby przyjął obojętnie, a o wyzdrowieniu — z pogardą.

Odtąd zdrowie nieznajomego polepszało się z dnia na dzień. Już w drugim następnym tygodniu począł pomału z łoża powstawać. Opowiedziano mu teraz, jakim sposobem dostał się tu do tego miejsca. Zdziwił się z początku bardzo, gdyż niczego nie mógł sobie przypomnieć, dopiero później coraz więcej zaczęło mu się w pamięci rozjaśniać, aż wreszcie dokładnie sobie przypomniał, jak w chwili niebezpieczeństwa przybył nad urwisko, rozhukane konie zatrzymał i tym samym pannę Celinę uratował od niechybnej śmierci.

Celina całemi godzinami przebywała u chorego, podawała mu lekarstwa, poprawiała mu

poduszki. O! jak silnie biło nieznajomemu serce, gdy Celina do jego pokoju wchodziła... jak gwałtownie krew uderzała mu do głowy, gdy do niego przemówiła!

Ale i na twarz Celiny występował rumieniec, gdy jej oko spotkało się z okiem nieznajomego.

Czemuż kraśniała pod wzrokiem jego? Czyż spadkobierczyni tak rozległych dóbr, Stolnikówna Turajska, mogła czuć więcej niż wdzięczność dla nieznajomego w łachmanach, cygana?... Nie, ona tylko była pod wpływem jego oczu, bo ich od chwili, gdy je nad urwiskiem przelotnie zobaczyła, zapomnieć już nie mogła. Wtenczas zdawały jej się być okiem Opatrzności, oczyma anielskiemi, a dzisiaj.... a dzisiaj, sama nie wie.... są te same jeszcze.

Nieznajomy zaś przed niebezpieczeństwem nie widział jej rysów, zobaczył tylko rozhukane konie, biegnące na oślep w przepaść, a w pojeździe niewiastę. Znajdował się szczęściem nad samem urwiskiem, doskoczył w stanowczej chwili, a w tym momencie, kiedy konie przytrzymał i uczuł uderzenie, nagle oczy jego spoczęły na rysach Celiny, — a potem zaraz się zamknęły, aby po dwóch tygodniach strasznej walki życia ze śmiercią, dopiero się otworzyć. Ztąd łatwo się domyśleć, że owym aniołem, który mu się ukazywał w malignie, była panna Celina. Inaczej też sobie Celina nie tłumaczyła.

Dziwiło to wszystkich nie mało, że nieznajomy, pytany zkąd pochodzi, albo nie odpowiadał, albo tylko mówił, że idzie z daleka, że chodzi po świecie szukając utrzymania.

Różni różnie sobie to tłumaczyli. Stolnik wcale nic nie myślał, Cześnikiewicz utrzymywał, że to wagabunda, hultaj, a służba miała go za... cygana. Na tę nazwę wpadli wskutek niezrozumiałych wyrazów jego podczas choroby.

Ostatni przydomek stał się niedługo urzędowem nazwiskiem; każdy bez namysłu nazywał go cyganem, prócz Celiny, która zawsze domyślała się jakiejś tajemnicy, a ze swej strony badać o to nieznajomego uważała za niedyskrecyę. Nie mogło trafić do jej przekonania, ażeby osławieni cyganie zdobyć się mogli na odwagę nieznajomego. Wiedziała przytem, że cyganom był pobyt w dobrach jej ojca zakazanym pod karami surowemi. Tak więc prócz dostojnych osób, nikt w jej obecności, cyganem nieznajomego nazywać się nie odważył. Cześnikiewicz zaś na przekorę, zawsze go tym tyłułem obdarzał, a mianowicie w jej obecności zawsze rozmowę zwracał na ten przedmiot.

Nie domyślał się niestety, ile przez to w jej duszy utracał, a z drugiej strony ile mniemany cygan zyskiwał. Ilekroć w salonie dopominał się Cześnikiewicz, aby go jak najprędzej wydalono, tylekroć Celina biegła do chorego, aby mu wynagrodzić swoją obecnością to, co mu w honorze ujmowano.

Nieznajomy doznając od Celiny samą słodycz i troskliwą opiekę, nie domyślał się nawet, że ma nie daleko możnego a zawziętego nieprzyjaciela w osobie Cześnikiewicza. I jakże mogło mu to nawet przejść przez myśl, kiedy nikomu żadnej krzywdy nie wyrządził, ni słowem nie obraził. Chociaż Cześnikiewicz mówił do niego w obec Celiny z pogardą, nazywając go bez ogródki cyganem, to jednak tenże oddawał mu przynależne poszanowanie, jako panu majątkiem, urodzeniem i wychowaniem daleko wyższemu.

Ten stan rzeczy trwał kilka tygodni. Cygan, (którego z braku imienia tak też nazywać będziemy musieli), już zupełnie przychodził do sił; czasami udawał się do ogrodu, gdy powietrze pozwalało, ale zawsze w towarzystwie Celiny.

Właśnie dzisiaj przechodził się w długim szpalerze. Stolnik z Cześnikiewiczem stali w oknie i przypatrywali się temu.

— Panna Celina, — rzekł Cześnikiewicz, — dosyć już wynagrodziła cygana za jego kilka kropli krwi nieszlachetnej, potrzeba, aby go już raz wypuściła ze swej opieki.

Stolnik kiwnął głową.

— Masz waszmość prawdę, — odpowiedział, — każę mu odejść, jeżeli w mych dobrach nie będzie chciał przyjąć jakiego zatrudnienia.

— Co? zatrudnienia? — zawołał Cześnikiewicz z zadziwieniem, — panie Stolniku! czyż ten cygan zdatny do jakiego urzędu? To wagabunda, który zdradziłby tylko zaufanie.

— Ależ co znowu? — odrzekł na to z powagą Stolnik, — zkąd waszmości to uprzedzenie?

— Uprzedzenie? — odpowiedział Cześnikiewicz, — nie uprzedzenie, ale jakiś proroczy

instynkt, który mi powiada, że pod tą skórą cygańską ukrywa się jakis urwisz, wart tylko szubienicy.

— Niech będzie jak chce, jednakże nie mogę go bez przyczyny wyganiać. Jeśli chce, niech sobie idzie, dam mu jeszcze na drogę stósowne wsparcie.

To rzekłszy, zadzwonił. Służącemu, który na głos dzwonka przybył, kazał powiedzieć podstarościemu, aby się wieczorem stawił dla odebrania rozkazów

Podczas gdy Stolnik rozmawiał ze służącym, Cześnikiewicz patrzał oknem pilnie na przechadzających się po ogrodzie. Cygan ubrany w inne rzeczy, jak dawniej, wyglądał wcale przyzwoicie. Twarz jego blada, pełna była wyrazu i wdzięku, chód poważny, imponujący, a postać krzepka, barczysta. W ogóle uprzedzony Cześnikiewicz przyznać mimowolnie musiał, że nie ma przed sobą brudnego cygana, ale udatnego mężczyznę.

Właśnie skręcali w aleję. Stanowisko było takie, że się zdawało, jakoby cygan trzymał Celinę za rękę. Cześnikiewicz już usta otworzył, aby krzyknąć ze zdziwienia, ale w tej chwili poznał złudzenie i zamilkł, pod nosem tylko mruknąwszy: szczęściem, że to cygan... bo... gust kobiet, a jesienne powietrze djabła warte, zmienne i niestałe. Aleć to cygan i jutro sobie porusza!

Tu zaświstał francuzką piosenkę, zwrócił się do Stolnika i obaj wyszli na ganek. Niebo zaczęło się chmurzyć, wiatr gwizdał, zapowiadając zmianę.

Stolnik wskazał ręką na niebo.

— Dostaniemy deszcz, — rzekł Stolnik, — bo chmury ciemne, a wiatr gwiżdże, to pewny znak.

Cześnikiewicz nic nie odpowiadał, tylko tak ciekawie wpatrywał się w obłoki, jakby ich nigdy jeszcze nie widział, aż Stolnik się zdziwił. Wprawdzie patrzał Czześnikiewicz na niebo, ale o niem nie myślał, gdyż w jego głowie zupełnie inne roiły się myśli, które go całkiem zajęły.

Stolnik znów zaczął mówić.

— Nie wiem, czy już wszystko w porządku do rozwalenia owej groty; podstarości jeszcze mi o niczem nie doniósł.

— Ile mi się zdaje, już świdry nadeszły i ludzie oczekują tylko rozkazu, — odpowiedział Cześnikiewicz i zamikł, a po małej chwili dodał, — radbym, aby rozwalenie groty nastąpiło przed mym odjazdem, gdyż chciałbym być temu przytomnym, a kto wie, może się znajdą jakie ciekawości.

— A czy waćpan chciałeś nas opuścić? — zapytał Stolnik zdziwiony, — dla czegóż to? i kiedy?

— Sam nie wiem, — odpowiedział ze spuszczonemi oczami Cześnikiewicz. — Miałem wprawdzie zamiar zimę przepędzić w Paryżu, ale znów inne okoliczności zatrzymują mnie w kraju.

Na te właśnie słowa weszła panna Celina na ganek. Cześnikiewicz spojrzał na nią — jej oczy jaśniały, a lica jak zorza pałały.

— Wiesz waćpanna, — rzekł Stolnik do córki wesoło, — że pan Cześnikiewicz nas opuszcza?... jedzie do Paryża!

— Tak!?... — wymówiła przeciągle Celina, a po małej chwili dodała: — winszuję podróży!...

Nie czekając odpowiedzi odeszła na pokoje.

Cześnikiewicz się zarumienił. To słowo tak?! było tak dwuznaczne, że go sobie wytłomaczyć nie mógł, gdyż mogło ono albo być wyrazem bolesnego zadziwienia, albo też najzupełniejszej obojętności.

Nie mogąc więc rozwiązać zagadki, milczał. Stolnik zwrócił się i poszedł na pokoje, dokąd i Cześnikiewicz za nim pospieszył.

— Więc pan napewno nas opuszczasz? — zapytał Stolnik, aby zawiązać rozmowę.

Cześnikiewicz nie zaraz odpowiedział, ale wprzód powiódł oczyma po ścianach, utkwił je na moment w suficie, a potem spuściwszy je na ziemię i odkrząknąwszy, zaczął mówić najprzód cichym głosem, a potem coraz głośniej:

— Używam już długo gościnności pana Stolnika Dobrodzieja. Śp. ojciec nieboszczyk szczycił się przyjaźnią tak dostojnego męża, a i ja mam zaszczyt być przyjmowanym gościnnie na Turaju. Jednakże ja czuję inne przywiązanie do pana Stolnika, a to jako do ojca panny Celiny, do której całem się sercem przywiązałem.

Tu zbliżył się do Stolnika i padłszy mu do nóg mówił dalej:

— Proszę zatem, jako byłeś serdecznym przyjacielem śp. ojca mego, tak zechciej być dla mnie ojcem, oddając mi rękę córki panny Celiny,

Stolnik się zaambarasował. Prawda, spodziewał się tego czy prędzej, czy później, ale nie dzisiaj jeszcze. Dla tego chwilę nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Wstań waszmość, wstań! — rzekł nareszcie, — pomówimy o tem dokładnie.

Cześnikiewicz, powstał, oparł się o poręcz krzesła, a Stolnik chodząc po komnacie, mówił:

— Połączenie z takim domem, jak mego przyjaciela, a waszmości śp. ojca, jest dla mego domu prawdziwym zaszczytem. Dla tego z mojej strony żadna trudność nie zachodzi. Jednakże zapytuję się waszmości, czy postarałeś się już o przychylność panny Celiny.

— Nie śmiałem jej miłości mojej oświadczyć, — odpowiedział Cześnikiewicz, — nie uzyskawszy poprzednio pozwolenia jej ojca, pana Dobrodzieja.

— To dobrze, to chwalę, — mówił dalej Stolnik; — postaraj się więc o słowo panny, którą to najwięcej interesuje, a ja mego słowa nie cofnę.

Cześnikiewicz z radością ucałował rękę Stolnika, a potem rzekł z uśmiechem:

— Co się tyczy panny Celiny, mam nadzieję, że mi swej ręki nie odmówi, raz że jest za nadto dobrą córką, aby się woli rodziców miała sprzeciwiać; po drugie, śmiem sobie podchlebiać, że panna Celina mi sprzyja.

Stolnik stanął i rozśmiał się na cały głos.

— Ha! ha! ha! waćpan serca kobiet nie znasz, jak się zdaje, chociaż w Paryżu nabyłeś niejakiej wprawy. Waćpan przecież musisz wiedzieć, że kobieta nie zawsze tego kocha, komu sprzyja. Co się zaś tyczy mej ojcowskiej powagi, wiem, że córka moja uszanować ją potrafi, jednakże zmuszać jej nie bębę, bom przekonany, że takie małżeństwo nie zawsze na dobre wychodzi. A jestem z innej strony przekonany, że moja córka nigdy serca swego nie odda osobie jej niegodnej, że pamiętna na mitry w herbie, rodu swego nie splami. Pomów zatem waszmość z panną, a zarazem postaraj się również o słowo matki.

Cześnikiewicz jeszcze raz ucałował rękę Stolnika, a potem odszedł, gdyż Stolnik o tej porze zwykle konno wyjeżdżał. Poszedł prosto do salonu, w którym teraz panna Celina zwykle przebywała i albo malowała, albo też grała na fortepianie. Zastał ją rzeczywiście, ale bezczynną. Siedziała przy oknie, głowę podparła na prawej ręce i tak zdawała się być w głębokich myślach zatopioną. Szelest otwierających się drzwi, zbudził ją z marzenia. Obróciła się i lekki wyraz niezadowolenia przebiegł jej po licach, ale Cześnikiewicz tego nie spostrzegł. Prosił ją więc zaraz do fortepianu. Celina jednakże odmówiła.

— Pani! — rzekł Cześnikiewicz po małej chwili, — takeś się zmieniła, że cię teraz ani nie poznaję Nic cię nie bawi, ani muzyka ani żadna inna zabawa; cóż się z panią stało?

Celina zwróciła na niego swe oczy.

— Nie rozumiem pana, — odrzekł ktoż panu powiedział, że mnie nic nie Czyż pan sądziłeś, że zawsze będę dziecinną? Czasy się zmieniły, ale nie ja — i co bardzo naturalnie z postępem czasu i ja.... spoważniałam.

Cześnikiewicz znowu tego nie zrozumiał. Spoważniała?.... i sama to powiada?.... cóż to znaczy?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŁODZIE ELEKTRYCZNE.

Wielkie postępy na polu elektryczności i jej zastosowania dozwoliły już przed kilkoma laty użyć jej jako motor dla mniejszych statków i łodzi. O ile wiadomo, byli to Anglicy, którzy — po wielokrotnych poprzednich próbach w Rosyi, Francyi i w samej Anglii — zastósowanie elektryczności do najdalszych doprowadzili granic na łodzi „Australia", z którą w zeszłym roku liczne robiono próby na Tamizie. Łódź ta była przeznaczona do pełnienia patroli w Sidney-Harbour, ponieważ przy zupełnie cichym ruchu maszyny, do takiej służby zdawała się najwłaściwszą, a do okrętów, równie jak i do brzegu mogła się zbliżyć niepostrzeżenie, nie zdradzając się dymem lub parą.

Różne przeszkody opóźniły przewiezienie tej łodzi do Sidney i od tego czasu porobiono z nią dalsze liczne próby. Opatrzono ją nowym motorem elektrycznym. Jest to śruba, która robi w godzinie blizko 800 obrotów, a średnicy ma 45 centymetrów. Łodź ta robi w godzinie 7 węzłów, więc co do szybkości dorównywa prawie parowym barkom. Długość jej wynosi 7.5 metra, szerokość 2 metry, a pomieści wygodnie 19 osób.

Na przodzie u dzioba znajduje się na wszystkie strony obracalny reflektor, dający światło o silne 3000 świec normalnych.

Niedogodność używania elektryczności jako siły poruszającej statki polegać będzie zawsze na tem, że to rzecz bardzo kosztowna.